№ 25.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 4. Grudnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Ze zmianą zasad podstawnych życia socyalnego przybierają zmianę i wszystkie obyczaje, a to nietylko mające bliższą styczność ze sprawą publiczną, ale nawet takie, które zdają się postawać na dalekiém uboczu. Nikt nie wątpi, że pod rządem despotycznym jest inne wychowanie, jak pod konstytucyjnym, a pod tym znowu inne, jak pod republikanckim, ale może nie każdy uważa, iż forma listów, znajdowanie się na publicznych widowiskach, urządzenie obiadu, sposób witania się i żegnania, sposób jeżdżenia i zgoła wszystkich najdrobniejszych czynności ludzkich, kształtują się podług najwyższej zasady socyalnéj. Dopókąd Polska uznawała swoją godność wśród drugich narodów, uznawał każdy Polak i swoję godność osobistą, dla tego wyrażenia „mnie wielce mości dobrodzieju, upadam do nóg, ścielę się do stóp pana i dobrodzieja mego“ były całkiem nieznane; jeden do drugiego mówił przez „wy“ albo „wasza miłościwość“, a powitaniem było pochwalenie Jezusa Chrystusa, albo „szczęść Boże, jak się macie“; pożegnania zaś były „idźcie z Bogiem, zostańcie z Bogiem, bądźcie zdrowi“ i zgoła tylko te, które się przechowały u naszego ludu i którym niemożna zaprzeczyć jędrności, uprzejmości, a nawet i głębiéj zrozumianéj grzeczności. Kiedy Polska już zorganizowała swoją arystokracyą i były w niéj ściśle rozdzielone stany, a w tych stanach albo raczéj w jednym szlacheckim, który stanowił rzeczywisty naród, każdy człowiek miał niejako w chiński sposób oznaczony stopień, natenczas po zgromadzeniach towarzyskich, na uroczystościach urzędowych, publicznych, a nawet familijnych i kościelnych, każdy miał swoje pewne stanowisko, pewne miejsce. Kobiety, które zawsze praw osobistych ściśléj niż mężczyzni dopilnować umieją, boczyły się o tak zwane podsiadanie. Przy obiadach zaczynano wielkiemi misami od osób najgodniejszych, co od przodków utrzymywało się poniekąd aż do dni naszych. Z tego to starodawnego systematu rządowego pochodzi, że niejeden młodszy wiekiem, niższy godnością, na wielkich ucztach zawsze skrzepło jadać musi. W krajach, w których od dawnego czasu panują wyobrażenia równości, potrawa daje się na talerzu dla kilku tylko osób, a tym sposobem nikt dla uznawania godności w drugim przy stole siedzącym, nie jest wskazany na jadło zimniejsze, gorsze, albo wybieranie zawsze tylko pomiędzy pałkami z kapłonów, kaczek i rozmaitego ptastwa, niemogąc się nigdy dostać do białego mięsa z piersi. Jeżeli zaś obiadami zarządza oszczędna gospodyni i nie weźmie należycie w rachunek apetytu swoich znakomitszych gości, natenczas siedzący przy stole mniéj znakomity, musi wysoki zaszczyt siedzenia przy osobach znakomitych opłacać czczością i głodem.

Zabawne dziś jest w ogóle podsiadywanie się i okazywanie swéj godności po kościołach. Chrześcianie są wszyscy bracia w Chrystusie sobie równi; kiedy więc jakie panie drą się do przednich ławek, choć te już szczelnie obsadzone, pokazują tylko, że myślą, iż nawet przed Bogiem mają pierwszeństwo. To jest prawie grzechem, a śmiesznèm się staje, kiedy wchodząc na teatr, na koncert lub jakie widowisko, gdzie równość opłaty stawia wszystkich w równych prawach, obiegają przednie miejsca z pewnym kłopotem, że cała publiczność niezgodziła się na to, iż one do najznakomitszych należą. Nie wiedzą, iż stojąca

na boku młodzież czyni nad niemi uwagę, że oświecone być nie mogą, bo ducha czasu jeszcze nie poznały.

Noc zimowa.

Noc była dzika, zimowa. Po ulicach ogołoconych z ludzi dął wiatr północny; tu i owdzie tylko przebiegał pojazd dobrze opatrzony, głucho turkocąc po zmarzłym bruku. Młody, bogaty, wesoły hrabia Stanisław dawał właśnie bal najświetniejszy téj zimy; wielki świat stolicy był nań zaproszony. Pałac zamienił się w uroczą siedzibę duchów. Płonące sznury ogni porozwieszane u wnijścia nakształt pereł, połyskiwały w dalekie strony, a płomienie pochodni i niezliczonych lamp, rozsyłały ciepło w okolicę pałacu na przekór dojmującemu zimnu. Dla utrzymania porządku porozstawiano czaty żołnierzy i policyi, tak, ażeby cisnące się tłumy ciekawych, zwabionych dziwném widowiskiem, nie wstrzymywały zjeżdzających się ze wszystkich stron zaproszonych gosci.

Lubo zewnętrzna część pałacu hrabiego Stanisława blaskiem czarowała patrzących, wewnętrzne jednak urządzenie przewyższało wszystko co dotąd widziano. Obszerne, bogato przystrojone sale zamieniły się w kwitnące ogrody włoskie. Woń balsamiczna porozstawionych gęsto drzew pomarańczowych i kwiatów południowych rozléwała się po przestrzeniach złotém i srebrem lśniących, patrzący mimowolnie czuli się być oczarowani na samo wspomnienie nieba północnego, które potrząsało obliczém swém groźném. Hrabia Stanisław był pierwszym, który z nadzwyczajnemi kosztami zaprowadził teraz tyle ulubione zimowe ogrody.

Mimo ciepła ogrzewającego przeziębłe ciało, nie widać było owych słynnych pieców północnych, zapomocą powietrza ogrzanego cały pałac napełniony był ciepłem letniém. Nadto hrabia niewyczerpany w pomysłach tak wszystko urządził iż w salach i przestrzeniach z niemi połączonych można było odbywać podróż stomilową w przechadzce półgodzinnéj. Na wnijściu do pokoi kwitły kwiaty środkowéj Francyi, jeżeliś daléj postąpił zajęły cię pąkówia i kielichy południowego nieba, po rozmaitych miejscach świeciły jabłka granatowe w ciemnéj zieleni. Przechodziłeś potém zimną część Alpów, coraz lichsze w nich krzewy i porosty, aż nareszcie otoczyło cię martwe przyrodzenie przerywane tu i owdzie jakby na przypomnienie samotnym kwiatkiem alpejskim. Daléj coraz widok milszy oku, widoki się zwiększały, w oddaleniu połyskiwało morze swém niebieskiém zwierciadłem, a zdziwiony wędrowiec ujrzał się w sali przedstawiającéj boskie Włochy, krainę pomarańcz i madonny, krainę „dolce farniente“ i zmiękczonych tonów Belliniego. Przez uboczne przestrzenie dostałeś się do poważnéj ciszy klasztornego życia Hiszpanii, dźwięk gitar brzczał po ruinach Alhambry. Nakoniec zabłysnęły kraje wschodu, z palmami i minaretami, z wonią róż i świętych kwiatów. Za pomocą mnóstwa dioramów i sztucznych widokręgów, złudzenie niemiało końca. Urok ten podnosiła ukryta orkiestra, która grała charakterystyczne melodje.

Nie mniéj zajmujący widok jak sale malowniczo ozdobione, przedstawiali goście na bal zaproszeni, a szczególniéj kobiety. Najpiękniejsze kwiaty północnéj stolicy kołysały się nakształt czarodziejek powiewnych, przybranych w gazy i koronki, dotykając atłasowemi trzewiczkami zaledwie posadzki. Świat męski po większéj części z młodych, barczystych złożony, przybrany był we francuzkie nadworne ubiory, lśniące atłasem i jedwabiem, bramowane złotem lub srebrem.

Młody hrabia Stanisław wzór piękności i układności salonowéj ubrał się dla odróżnienia, w jakiś nbiór uarodowy, kipiący dyamentami i złotem. Z największą układnością i przymileniem obiegał grono sproszonych, obdzielając każdego grzecznościami, na jakie zwykle w takich okolicznościach zdobyć się można.

Nie tylko przecie pamiętał, ażeby oko i ucho ubawić, ale jeszcze i o żołądku naszych gości nie przepomniał. Mnóstwo bufetów w grotach, kioskach, altanach umajonych, wabiło przybyszów najwymyślniejszém jadłem, cukrami, winem krain południowych, tak, iż prawdziwi znawcy już nic przydać ani ująć nie umieli, podziwiali tylko hojność i rozum gospodarza.

Życie wesołości panowało w komnatach hrabiego Stanisława. Wszędzie radość, zabawy i żarty; tylko za salami krainy wschodu zasiadła obłąkana namiętność. Tu ukryty przed światem balowym i tylko znany wtajemniczonym, hrabia Władysław bank ciągnął. Tysiące tu wygrywano i przegrywano. Bank i poniterowie obchodzili się tu ze złotem jak z wodą, a jeżeli jeden lub drugi z grających przegrał kilkaset lujdorów, wracał do sali z udaną twarzą obojętności.

Noc zimowa coraz stawała się groźniejszą, zimno doszło do wysokiego stopnia. gwiazdy błyszczały i skrzyły się jeszcze jaśniéj z głębokich błękitów. Lud nareszcie rozbiegł się z przed pałacu i straże ściągniono.

Na przeciw pałacu hrabiego Stanisława stała na pół zapadła chata, w któréj najopłakańsze mieszkało ubóstwo, boleścią i utrapieniem znękane. Nielitościwie dął wiatr przez szyby źle opatrzone, a słabe dogorywające światło opromieniało obraz najokropniejszéj nędzy. Na biedném łożu usłaném słomą, leżała śmiertelną złożona chorobą matka i przy niéj klęczały dwa wybladłe anioły, jedenastoletnia Marynka i siedmioletnia Kasia. W kąciku przysiadł czternastoletni Tadeuszek. Słaby ogień na kominku dawno wygasł, ostatni węgiel stlił się na popiół; coraz zimniéj wiatr przelatywał przez okno i przeszywał do reszty skrzepłe od zimna ciało matki i dzieci. Przez cały dzień nie zawitał do domu kęs chleba suchego; napróżno Marysia z Tadeuszem obiegali drżąc od zimna ulice miasta, żadna ręka litościwa nie otworzyła się dla nich. Przeziębłe, głodne i opuszczone sieroty, ze łzami na lód zmarzłemi wróciły do ukochanéj matki, uśmiechały się do niéj z zakrwawioném sercem, nic jéj niemówiły o dokuczająceym im głodzie, niechcąc pomnażać bólu i tak śmiertelnie chorującéj matki.

Z wieży miejskiéj uderzyła jedenasta godzina. Jako chwilka upłynęły balującym godziny przed północą, gdy tymczasem o kilka kroków w ubogiéj izdebce każda minuta stawała się okropną godziną.

Obie dziewczynki ciągle u łoża matki modliły się, Tadeuszek ciągle jeszcze siedział w kąciku od zimna skostniały. W tém nagle wojskowa komenda ściągająca straże ze stanowisk przedpałacowych obiła się o uszy Tadeusza. Promyk nadziei zatlił się w piersiach biednego chłopca.

— Może być, pomyślał sobie, że teraz uda mi się wkręcić do pałacu i uprosić jakiego lokaja złotem ubramowanego o kawałek chleba.

Po cichu opuścił Tadeuszek izbę i domek, aby matki i sióstr nieobudzić. Nadzieja go niezawiodła. Straże ściągnięto i pysznie ozdobiony przedsionek stał otworem. Okropna bieda przemogła nad lękliwością chłopca. Wbiegł do sieni, przeszedł kurytarz i dotarł do jednéj galeryi na pierwszém piętrze. Tu stał bogato ubrany jakiś pan i oddawał swemu służącemu mnóstwo rulonów złota, które wygrał w faraona. Pan wyglądał dosyć łaskawie i dla tego Tadeuszek nabrał serca, ukląkł na kolana i prosił o kawałek chleba.

Szczęśliwy poniter rzucił litośném okiem na biedną i znędzniałą postać chłopca.

No mój biedny djabełku, rzekł, chleba niemam, ale masz oto, kup sobie co chcesz.

Potém rzucił proszącemu kilka dukatów i pobiegł szukać daléj szczęścia.

Łzy radości rzuciły się biednemu chłopcu; tak bogatym nigdy jeszcze nie był w swém życiu. Powstał i pobiegł, ażeby jak najśpieszniéj kupić drzewa i chleba.

Już pałac daleko pozostawił za sobą i biegł ulicą pustą. Ta myśl, że nakarmi i ogrzeje najukochańszą matkę i siostry, nowém go natchnęła życiem. Przybiegł do małego kramiku gdzie rodzina jego zwykła kupować za parę groszy biedne swe pożywienie, — lecz na nieszczęście wszystko było zamknięte. Na próżno pukał i dobywał się słabą ręką do drzwi kramu. Już było zapóźno, nikt nie otworzył. Północ wybiła. Tadeuszek w rozpaczy przebiegł jeszcze kilka ulic. Wszystkie domy, w których podczas dnia przedawano chleb, mięso i drzewo w obfitości, były puste i pozamykane. Mieszkańcy spoczywali w śnie głębokim. Żadne wołanie i stukanie nie pomogło. Na cóż przydały się złoto i bogactwo biedaczkowi!

Z pierwszą poranną godziną zwiększył się mróz i doszedł do najwyższego stopnia. Oddech marzł przed ustami i z trudnością, na wpół umarły, wrócił Tadeuszek nic nie sprawiwszy do domu.

Za powrotém do biednéj izdebki znalazł lampkę zagasłą; a w okół panowało głuche milczenie. Matka i siostry zasnęły na zimném twardém posłaniu.

Osłabiony padł Tadeuszek na podłogę. Złoto wypadło mu z przeziębłéj dłoni i mimowolny sen opanował cierpiącego męczennika.

Na dworze zimno nie ustawało.

Z rana kiedy gospodarz z sądową osobą wszedł do izby wdowy, aby upomnieć się o zaległą zapłatę, którą mu była winna, znalazł czterech trupów. Ojciec niebieski ulitował sę nad dziećmi opuszczonemi od ludzi i zabrał je do siebie. Błyszczące złoto leżało rozrzucone na ziemi.

Odartusy pomarzły, rzekł gospodarz obojętnie, ale obaczywszy złoto, zawołał z zadziwieniem: czemuż ci głupcy nie napalili sobie, nigdy niemieli oni więcéj pieniędzy jak teraz.

Prawdę powiedział twardego serca człowiek. Biedni ludzie nigdy nie byli bogatszymi, kiedy ich na łono swoje powołał ojciec niebieski.

W kilka dni potém cisnęły się pojazdy przed pałac hrabiego Stanisława, unosząc gości balowych, którzy zwykłe ponawiali u niego odwiedziny, a nie jeden woźnica klął mimo przechodzący karawan, na którym spoczywały ciała biednéj i nieszczęśliwéj rodziny.

Bogaczu nie sądź, kiedy biedny u twoich nóg płacze, żeś wszystko uczynił, skoro rzuciłeś mu jałmużnę, aby się pozbyć jak mówisz natręta, pojrzyj ra-

czéj w oko załzawione biedaka, za nim się ono zakrwawi uczuciem rospaczy i połóż z miłością rękę twoją na sercu drgającém z boleści — a wtenczas będziesz jego aniołem stróżem..

S.

Prelekcye Mickiewicza.

Kurs czwartoletni.

Poświęcaliśmy w piśmie naszém zawsze uwagę na kursa literatury słowiańskiéj w Paryżu, wykładane przez Mickiewicza. Miejsce będące punktem centralnym całego ruchu myśli w Europie; miejsce, w którém zbiegają się najdzielniejsze talenta wśród zbiegowiska ludów z całego niemal świata; miejsce nareszcie, w którém wykładającemu wypowiedzieć wolno wszystko, czegoby na inném miejscu wypowiedzieć nie śmiał lub nie mógł; — to stanowisko katedry słowiańskiéj w Paryżu, robi wykładane tam kursa nadzwyczaj ważnémi; — rzekłbym, że katedra słowiańska w Paryżu wpłynąć powinna na przyszłe losy Europy. Dodajmy do tego sławę i znakomity talent powołanéj na tę katedrę osoby, a wartość tych kursów przedstawia nam się daleko jeszcze wyższą.

Do nieszczęść policzyć trzeba, że przez fałszywy kierunek, tym kursom nadany, wpływ ich na dzieje i losy ludów słowiańskich został spaczony. Mickiewicz wolał zostać prorokiem niż profesorem; mistykiem, niżeli historykiem. Sam dawną głośną sławę swoją potargał, a skutek ogromnych zdolności swoich zniszczył. Dla utalentowanego professora Paryż i tylko Paryż otwiera świetne i rozległe pole działania; dla proroka i mystyka każde miejsce zarówne, a im skromniejsze i mniéj oświecone, tém stosowniejsze.

Mickiewicz fałszywie ocenił powołanie swoje — wyższe, niżeli było i jest w obecnych stosunkach powołanie jakiegokolwiek z Polaków lub Słowian w ogólności. — Wdał się nie w swoje rzeczy, bo byłby wielki jako professor, ale małym się pokazał, że nie rzekę maluczkim, jako prorok. A brnąc coraz daléj w mystycznym obłędzie stać się messyaszem, albo przynajmniéj poprzednikiem jego dla narodów wyczekiwających nowéj ery, — sprawił, iż mu dano na rok uwolnienie od obowiązków professora. A tak rok cały — rok może w dziejach wielkiéj wagi, upłynie daremnie, bez nauki, bez owocu, któreby katedra słowiańska w Paryżu przynieść mogła i przynieść powinna. — Podajemy tu kilka ustępów, mogących przynieść korzyść czytelnikom naszym.

Mickiewicz rozpoczął kurs swój na rok czwarty od tego, na czém skończył w roku trzecim. Rzucił był wtenczas pytanie: zkąd i dokąd? Nad rozwiązaniem tego pytania w zastosowaniu go do rodzaju ludzkiego biedzi się praca wieków. Jest to kwestya boska. Podjęły ją filozofia i teologia. Pierwsza także jest teologią i nazwać ją można teologią świecką; druga jest teologią duchowną, officyalną.

Autor zadaje sobie zadanie dowieść, że ani pierwsza, ani druga w obecnéj chwili nie wypełniają powołania swego. Bóg się temu nie odkryje, kto nie ma woli zbadania jego istoty i jego tajemnic. Wolą zaś jest silna wiara w obecność tego Boga, do którego się zbliżasz, ażebyś go zbadał. Ten, którego serce mocniéj bije na widok pięknéj kobiety albo kochanki, niżeli na słowo Boga, lub ludzkości, wymówione w przytomności jego, ten wydał sam sąd na siebie, ten nie ma wiary w Boga, i nigdy go nie pojmie.

Pisarze rozwijający umiejętności, a mianowicie najwyższą umiejętność w poznaniu prawd boskich, pracują dla siebie nie dla prawdy; nie Bóg, ale sława ich osoby jest przedmiotem ich usilności literackich, i dla tego nie ma owocu z takiéj pracy.

Któryż autor, przerzucając dzieła lub dzienniki, nie szuka tam najprzód nazwiska swojego? Pomija najważniejsze wiadomości, obchodzące ludzkość całą, jak wojny i traktaty ludów, a spieszy okiem tam najprzód, gdzie jest recenzya lub pochwała jego dzieła.

Zabezpieczenie w nowszych czasach własności umysłowéj, jest miarą samych osobistych widoków pisarzy. Nie chodzi im o to, aby na cały świat rozeszły się pisma ich przez przedruki dozwolone, ale o to, aby z tego rozejścia pieniądze do ich kassy wpływały. Czyniliż tak Apostołowie? — kazaliż sobie dawać patenta na prawdy wielkie, które ogłaszali światu? Szli raczéj za Zbawiciela nauką: darmoście wzięli, darmo dawajcie!

Żądaj dziś po autorze ofiary z nazwiska jego; niech dzieło, które napisał, a o którego wielkości jest przekonany, wyda bezimiennie, a zobaczysz, czy mu idzie o rzecz, czy o sławę swoją. Uczyni to chyba wtenczas, gdy za powiedziane prawdy czekałyby go katusze w kraju własnym, gdy więc nie ma odwagi przypieczętować krwią swoją prawd przez się ogłoszonych. A zatém znów egoizm, nie wiara w Boga.

Mnóstwo dziś powstaje systemów, zmierzających istotnie do uszczęśliwienia rodu ludzkiego, i zdawałoby się, że ci, co wynaleźli te systemata, mają silną wiarę w prawdy przez siebie objawione. Nie prawda, to pozor tylko. Siła wiary jest siła czynu. Nie na tém wiara polega, ażeby coś wymyślić, napisać, i na-

reszcie drukiem ogłosić, ale na tém, aby to, co mam za prawdę, w życie wprowadzić. Ale własnie o to drugie owi systematorowie się nie kłopocą wcale. Albo nie mają dosyć odwagi do nauczycielstwa publicznego, albo zostawują przypadkowi zastosowanie ich prawd. W obu razach jest brak wiary, jest obojętność, nie ma poznania Boga, którego prawdy muszą mieć siłę boską, a więc wyższą nad wszystkie siły i względy ludzkie.

Jedni z pisarzy reformatorów liczą na rewolucye ludów, które dopiero zaprowadzić mają ich teorye; drudzy liczą na usposobienia ministrów lub monarchów, że przeczytają ich pisma i zrobią z nich zastosowania. Jedni i drudzy są bez wiary. Tamci chronić ludy od klęsk rewolucyi powinni, niosąc im żywe słowo przez nauczycielstwo publiczne, drudzy wiedzieć powinni, że nikt wedle książki nie rządzi. Ministrowie i książęta mają co innego do czynienia, i nie mogą czasu na czytanie utopii, — a utopią jest każde pismo. Chcesz ich przekonać, idź do nich osobiście, i siłą słowa walcz z nimi. Wszystko, cokolwiek się przez rządy dzieje, dzieje się potęgą słowa, wpływem osobistego przekonania, nie przez pisma.

Starożytni mieli inne wyobrażenie o autorach. Autor znaczy człowieka produkującego, zwiększającego massę rzeczy zdziałanych, a zatém człowieka tworzącego rzeczywistość. Pismo zaś nigdy nie jest rzeczywistością. Wszakże ta tylko rzeczywistość nadaje człowiekowi znaczenie i powagę. Tylko twórca ma władzę, nie ma jéj człowiek tylko piszący.

Dwojakie są prawdy, jedne prawdy oderwane, intelligencyjne, drugie prawdy rzeczywiste, moralne. Za pierwsze nikt się nie da ukrzyżować, bo nie mają rzeczywistości, drugie są z krwią i z życiem człowieka spojone. Myśli, pomysły, wynalazki twoje w naukach i t. p. obwieszczaj, i nikt ci tego za złe nie weźmie, ale gdy chełpić się będziesz z czynów twoich, posądzą cię o próżność. Nie gadaj, ale czyń i działaj, to jest przykazanie twórcy człowieka.

Mickiewicz porównywa dzieła pisane, obejmujące kodexa szczęśliwości ludzkiéj, z obrazami, które u Turków dla tego są zakazane, że życia nie mają. Wystawiają oni sobie, że po śmierci te obrazy jako mary autorów swoich ścigać będą. Podobny zakaz sądzi, trafiaćby powinien tych, którzy piszą a nie działają. Kto system swój w życie wprowadza, jako drugi Apostoł, ten dopiero daje probę, iż miał wiarę tego, co napisał. Ta to też wiara nadaje powagę. Tak w okręcie kapitan okrętu w pełni wiary do steru, który mu oddany, wydaje rozkazy i wszystko słucha jego powagi. Niech tylko straci wiarę do siebie, waha się, powaga i znaczenie jego upada, i majtkowie mięszać mu się do jego rozporządzeń będą. — Oto, powiada autor, w sferze społecznéj obraz rządu parlamentowego; a w sferze religijnéj obraz walki katolicyzmu z protestantyzmem; obraz anarchii i koniec epoki czasu. Księgi święte nazywają czas taki skończeniem świata. Wtenczas to miłość gaśnie, siła i powaga chwieje się i ustaje — czyli w języku symbolicznym, wtenczas słońce się zaciemnia, a gwiazdy z firmamentu spadają. To co się dziś dzieje w głębi ducha ludzkiego, ogólne zwątpienie i ogólne cierpienie, jakaś niespokojność i wyczekiwanie powszechne — wszystko to nas ostrzega, że zbliżamy się do epoki nowego porządku rzeczy, który ma powstać na ruinach dawnego.

Tego rodzaju symptomata pokazują się u wszystkich narodów w pismach i poezyach — tam, gdzie myśli swoje objawić wolno. Ale i tam, gdzie wśród ludów ponure panuje milczenie, gdzie się duch nie na zewnątrz, nie na powierzchni, ale w głębiach swoich wyrabia — i tam jest poczucie tych chwil przyszłości — a jest poczucie tém silniejsze, im potężniejsza jest w sobie koncentracya ducha. Na dowód przytacza autor ustęp z dziełka ogłoszonego w Paryżu 1844. r. przez pewnego Rossyanina: „Świat dziś pragnie za prawdą, doktryny wszelkie umarły, i są jak posągi wśród świata. Po co się jeszcze łudzimy? Co do mnie, patrząc się na pochód czasu i na postęp oświaty, przekonywam się coraz bardziéj, że przyszła chwila, gdzie nam trzeba nowy wystawić budynek społeczny. A do tego dzieła wszyscy się wziąść powinniśmy.“ — „Jaka noc w piersi człowieka, jakie zamięszanie myśli, jaka anarchia zasad i opinii. Krwawe wojny staczamy sami z sobą, i rozdzieramy okrutnie łono życia naszego. Ludzkość cierpiąca woła na nas, byśmy jéj przyszli w pomoc, oddzielili fałsz od prawdy, światło od ciemności!“

(Dokończenie nastąpi.)

Szajne - Katrynka.

I.

Bolesław Krzywousty.

SZKIEŁKO.

Rycerz w zbroicy, z orlemi skrzydły na ramionach, wsparty na szabli — usta ma znacznie wykrzywione.

A któż to na szabli wsparty?
Książę-Piast Bolesław czwarty! *)

*) Bolesława Krzywoustego niewłaściwie nazywają trzecim, wzmianki bowiem w niektórych kronikach, i nowsze

Miał on usta trochę krzywe,
Lecz serce zawsze poczciwe!
Za tego to Bolesława
Pan krakowski wojewoda
Drapnął od halickich bram,
A ta zdrada i niesława,
Choć on się powiesił sam,
Na wiek wieków ukarana!
Stąd krakowski wojewoda
Młodszym jest od kasztelana. —
Boże! zdrajcom zdarzaj tak,
Kto kraj gubi, to na hak!

II.

Krystyn, wojewoda mazowiecki.

SZKIEŁKO.

Mąż ogromnéj postawy, na rusztowaniu okrutnie męczon.

A to człek potężnéj ręki!
Zadławion strasznémi męki!
Zwał się Krystyn, Mazur sławny,
Wojewoda starodawny!
Tak się go pogaństwo bało,
Że go bożkiem nazywało!
A gdy Konrad książę liche
Dobrodzieja zamordował
Pogaństwo urosło w pychę,
Bóg grzesznika wnet zepsował,
I jako ów Egipt stary
Ziemię nawiedził plagami
Obesłał cudzoziemcami
Plugactwem bez czci i wiary,
Które zwano — Krzyżakami.

III.

Tarnowski Jan.

SZKIEŁKO.

Sędziwy rycerz w zbroi, z brodą.

A to stary Jan Tarnowski
Hetman wielki! pan krakowski!
Gdzieś za morzem z Murzynami
Tu się czubił z Moskalami!
U miasteczka Obertyna
Zbił z kretesem Wołoszyna!
A gdy umarł, — przez rok cały
Dziewki tańców zaniechały

badania, zwłaszcza uczonego Aug. Bielowskiego dowodzą, — że po Mieczysławie II. panował syn jego starszy Bolesław, nieliczony dotąd w poczet królów naszych.

I był straszny lament wszędzie,
„Któż nas teraz bronić będzie,
„Kto od licha kraj uchowa
„Kiedy umarł Jan z Tarnowa!

IV.

Zamojski Jan.

SZKIEŁKO.

Mąż poważny w żupanie i kontuszu na dzielnym koniu — prowadzi na powrozie pieszego rycerza w hiszpańskim stroju.

A to hetman wielkim zwan,
A to jest Zamojski Jan,
Do Krasnego-Stawu jedzie
Herc-hercoga w łykach wiedzie!
Choć się za granicą uczył,
Staropolski rozum miał;
Kiedy bić, to nie odwłóczył,
Pan Bóg mu téż szczęście dał.
Wielką przyjaźń miał z Batorym
Z onym krolem z Węgier rodem,
Który był do szabli skorym. —
Więc z nim zawsze ruszał przodem,
Z nim Moskala zawojował,
Zdobył Smoleńsk, Wielkie-Łuki!
I fortecę wybudował,
I na żaki i na druki
Swéj fortuny nieżałował. —
A chociaż sam pisał księgi
Zawsze był do szabli tęgi. —
A kiedy bywał starostą
Grzech się niemógł minąć z chłostą,
Bo gdy w grodzie zasiadł stołek,
To na prawdę tylko dbał,
Czy pan, czy chudypachołek,
Kto zawinił — gardło dał!
Oj człek setny! — mianowicie
Za to słusznie uwielbiony
Że Niemca przez całe życie
Het odpłaszał od korony! —

V.

Żółkiewski Stanisław.

SZKIEŁKO.

W polskim stroju hetman Żółkiewski z buławą w ręku stoi przed namiotem. — Wojsko moskiewskie przeciąga i broń przed nim rzuca, — a najprzód sam car, ubrany bogato schyla głowę, i oddaje mu szablę.

Panowie i panie!
Uważajcie kto tu stanie!

Jestto Stanisław Żółkiewski
Przed nim Szujski, car moskiewski.
Wielka, wielka była sława
Żółkiewskiego Stanisława!
Bóg nań hojnie łaski zlał. —
On bił Szwedy i Tatary,
I w niewolę pobrał cary
I za Polskę gardło dał!

VI.

Czarniecki Stefan.

SZKIEŁKO.

Czarniecki z jazdą swoją pod ogniem rzęsistym sadzi wpław przez wodę.

Oj to Polak starodawny
Co za mina, co za ruch!
Oj to bracia wielki zuch
Nasz Czarniecki Stefan sławny!
Szwedzi Polskę zwojowali,
Swój im podał chleb i sól
Lutrzy z nimi się zwąchali,
Za granicę drapnął król!
I już ziemia prawie cała
Szwedowi się poddawała.
I już wierny naród ginął!
Jedna tylko Matka Boska
Oparła się Częstochowska!
Przy niéj stanął ksiądz Kordecki!
A ten zuch Stefan Czarniecki
Jak się zawziął, jak zawinął,
Wygnał Węgra i z Lutrami,
I jak kaszę ze Szwedami
Tak zjadł Szweda choć bez kaszy!
I nietylko w ziemi naszéj,
Aż za morzem réj on wodził,
Bo gdy Szwed bronił się wodą
On i morze wpław przebrodził!
A choć się nierodził panem
Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co to boli,
Ruskim urosł wojewodą
I koronnym zmarł hetmanem.

VII.

Leszczyński król.

SZKIEŁKO.

Starzec w szlafroku w krześle grzeje się u komina; — na stoliku korona, berło i książki.

A to Stanisław Leszczyński!
Z króla książę lotaryński,
Szwed go w Polsce królem zrobił,
Sas wypędził, — Moskal pobił.
Pan pobożny! miłosierny!
Módlże się człowiecze wierny
By mu było odpuszczone,
Że od Szweda wziął koronę,
Że się pobić Moskalowi
I wypędzić dał Sasowi!

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1844.“ wyszedł poszyt XIty i zawiera: 1) Jezuityzm nowoczesny, mianowicie we Francyi. 2) O Słowianach pod panowaniem tureckiém, a w szczególności o ich dążeniach i środkach polityoznych (ciąg dalszy). 3) Krytyka pieśni Tomasza Padury, przez P. Jeweckiego. 4) Co mówią o Parafiańszczyznie. Wizyta wizyt. 5) Rozmaitości.

Pewna stara pani jadąc na kolei żelaznéj z Rouen do Paryża poznała się z jednym młodzieńcem bardzo przystojnym, ukształconym lecz biednym, a że dosyć litościwą była, przeto zaprosiła go ze sobą do hotelu mając zamiar przez czas pobytu w Paryżu podejmować go swym kosztém. Młodzian nie gniewał się bynajmniéj. Udał się za panią do mieszkania, w którém go zostawiła, aby się w mieście w potrzeby do życia zaopatrzyć. — Jakiż przestrach ogarnął ją za powrotem na widok rozbitéj swéj szkatuły i kufra, z którego wszystkie rzeczy powyrzucano na podłogę; znalazła przytém papier cały zakryty pieniędzmi i na którym było coś napisaném. Czyta więc: czcigodna pani! Pozory łudzą, a często nawet złodziei oszukują. Jam się omylił, biorąc Panią za bogatą; jesteś przecie poczciwą i ubogą. Z taką przewrotnością nie mam właściwie nic do czynienia, gdy tymczasem w pani pomięszkaniu nic nie znalazłem, coby wartość miało, znalazłem jeno w jéj pugilaresie kwit zastawu na kosztowności, owoż tedy położyłem tutaj sto franków, abyś swoją własność wykupiła. Nie opieraj się pani przyjąć tę moją ofiarę. Zwykle dobre robię interessa i rzadko jak u pani na sucho wychodzę. Kłaniam uniżenie. —

Znana gazeta The Thimes, najważniejsza i najznamienitsza na świecie, powiada o sobie, iż w przecięciu codzień, oprócz niedzieli, 135 listów odbiera z całego świata, co rocznie wynosi 32,120 listów.

Policya na pustyni. Trzech żydów afrykańskich podróżujących razem przybyło w okolicy Philippeville do jednego pokolenia arabskiego i postanowiło w namiocie Araba noc przebyć. Gospodarz przyjął ich gościnnie. Jeden z nich nazwiskiem Mardochai schował w trzosie nieznacznie 40 piastrów, i sądził się być bezpiecznym w towarzystwie swoich spółwierców. Nazajutrz mieli zamiar ci trzéj podróżni daléj ruszyć w drogę, ale Mardochai niemógł swych znaleść pieniędzy. Przeraźliwie zaczął narzekać i winił swego gospodarza, który nietylko zaprzeczał kradzieży, ale nadto mocno się zasmucił tym przypadkiem i przymusił podróżnych do zostania u niego. Posłał przytém po marabuta, o którym wieść niosła, że wszystko wiedział i każdą kradzież odkryje. Marabut przybył, starzec schudły, błyszczących oczu, kazał sobie opowiedzieć zdarzenie i rzekł: dostawcie mi człowieka obcego, który nie postał tu jeszcze w namiocie i kradzieży popełnić niemógł, ten wam wszystko odkryje. — Zwołano całe pokolenie, ale nikt niechciał się poddać doświadczeniu. Nareszcie wystąpił młody Arab i rzekł: róbcie zemną co wam się podoba. — Marabut położył go na ziemię, zaczął go magnetyzować. Młodzieniec wpadł w sen jasnowidzący, odpowiadał na wszystkie pytania, opisał winowajcę i kradzież, jak i kiedy dokonaną została i z taką dokładnością, iż dwaj żydzi spółtowarzysze podróży padli do nóg okradzionemu, oddali mu 40 piastrów i błagali na wszystkich proroków i pismo święte, aby im winę przebaczył. Mardochai nie był bez litości i dał się uprosić. Ale Arabowie zezwolić na to niechcieli i złodzieje zostali sądowi w Philippeville oddani. Młody zaś Arab wcale nie był z doświadczenia zadowolony, bo dwa dni przeleżał w potach osłabiających i w strachu, aby ducha niewyzionął.

Paryż liczy teraz 25,146 szewców i 20,785 krawców, 36,258 służących płci żeńskiéj i 6,819 winiarń.

M O D Y.

Paryż, dnia 29. Listopada 1844.

W powszechności przyznać musimy, że półwysokie stroje na głowę na pierwszeństwo u wszystkich Dam zasługują, i to z zupełną słusznością. We włoskim teatrze rozpoczęła się walka między naturalnemi a naśladowanemi kwiatami. Rzadko znachodzimy kwiaty pojedyńczo upinane, girlandy dla tego są w ogólném używaniu, a w nich jeden lub kilka rodzai kwiatów wielkością inne przechodzi. Tak n, p. maki, róże, łączą się w nowych strojach głowy z brazylijskiemi kwiatami, z hiszpańskim bzem itd., i przypominają nam kształt greckich diademów.

Mówiąc o tych strojach, rzucić musimy nasz pogląd i na ubiory.

Na wyjście z teatru używają kryspin, które aż do dłoni sięgają i w ukos są krajane, tak iż u góry nie wyraziste fałdy, u dołu bardzo się głęboko rozszerzają. W tych fałdach u dołu są ukryte nieznacznie rękawy. Kryspiny te są z szkockiego kaszemiru, atłasu itd., nawet robią je ze sukna bramując sutaszowemi pasamonami.

Szlafroczki w takim stosunku zostają do sukien, jak kapotki do właściwych kapeluszy; dawniéj należały one do ubiorów negliżowych, teraz zaś można nosić szlafroczek do pięknego kapelusza, a suknię ozdobioną koronkami do świeżéj kapotki, strojnéj lśniącém piórem.

I na ubiory dzieci należy mieć wzgląd pewny. Między innemi widzieliśmy wysoko zachodzące zimowe bluzy ze sukna, z kołnierzem obciśle na bokach zapinanym na guziki; stanik z przodu i z tyłu jak u mundurów jest aksamitnemi pasami osadzony. Z przodu aksamit ten przechodzi na powłokę do dołu, z tyłu zaś kończy się u przepaski. Rękawy obszerne kończą się u łokci w angażanty, daléj wychodzą z nich obcisłe podrękawki. Wyłogi są obszerne i w okrąg we fałdy ułożone; przepaska aragońska dopełnia ubioru. Pantalonki przytém bywają półobszerne.

Ubiór młodych panienek stosuje się do starszych; robią dla nich małe watowane szlafroczki i płaszczyki; kapelusze pluszowe zawsze się jeszcze podobają.

Ubiór na odwiedziny. Suknia z cieniowanego szkockiego kaszemiru, z gładkim a sztywnym stanikiem; dosyć obszerne rękawy, z podrękawkami; gładka powłoka; kapotka atłasowa z wązkiemi aksamitnemi wstążkami, zdobna mancinisami pod obwodem, na obwodzie zaś jesiennemi kwiatami; do tego francuzki szal kaszemirowy.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut zimowy z szerokim kołnierzem i takiemiż wyłogami. Pantalony w pasy.
2. Frak z zwężonemi połami, obcisłemi rękawami i wyłogami obszernemi. Kamizelka ze stojącym kołnierzem.
3. Szlafroczek z mieniącéj tkaniny, ze stanikiem otwartym, sznepką kończasto zachodzącą i wiązaniem u stanika i na powłoce w kształt fartuszka. Loki angielskie, tył głowy koronkami zdobny.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*